NUMER 38. DNIA 18. WRZEŚNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Wjazd Stefana Czarnieckiego do Lwowa.

Był to ostatni błysk słońca przed zachodem. Odrodzona w mistycznych blaskach Jasnej góry, w czynie tyszowieckiej konfederacji zakrzepła, otrząsła się Rzeczpospolita od najazdu, a ostatni z jej nieprzyjaciół pogromiony pod Magierowem Rakoczy, umykał co tchu w swe góry siedmiogrodzkie. Zamilkł na chwilę szczęk oręża, a z oparów jednego pobojowiska, jakie wówczas tworzyła cała ziemia polska, szedł głos olbrzymi, niby trąba chórów archanielskich, głoszący chwałę imienia... Stefana Czarnieckiego. Nazwisko zbawcy ojczyzny, herosa, tytana, co w chwili upadku gmach Rzeczypospolitej wziął na swe barki, powtarzały wszystkie usta z podziwem i czcią największą, a panegiryści suszyli swe mózgi nad wynalezieniem słów górnych, najklasyczniejszych porównań na cześć tego, co ani z soli, ani z roli... hetmanem miał zostać dopiero na łożu śmiertelnem. A równocześnie u polskich rubieży zamierały serca mołojcom kozackim na samo wspomnienie „rabego psa“, na to samo wspomnienie Karol Gustaw zgrzytał zębami, pienił się Chowański i komunikiem uchodził Rakoczy.

Właśnie po pogromie Rakoczego, świeżym laurem promienny, zjechał Stefan Czarniecki z początkiem sierpnia 1657 do Lwowa. Bohater do miasta.... nad którem również brzmiało jeszcze niewygasłe wspomnienie nadludzkiej obrony przed najazdem, grzmiał jeszcze w powietrzu głos ślubów Jana Kazimierza, ostatnie błyski siły i potęgi mieszczaństwa polskiego mury jego rozpierały, a cała Rzeczpospolita pełną była powieści i sławy Lwowa niezdobytego, przedmurza Polski.

A więc wjazd Stefana Czarnieckiego do Lwowa był chwilą, w której się słyszy łopot olbrzymich ptaków w powietrzu, chwilą, której nawet napuszyste przemowy panegirystów, ani jezuickie hołdy obniżyć nie zdołały.

Nadszedł wreszcie dzień siódmego sierpnia — powiada świadek współczesny*) — pogodny nadspodziewanie po wczorajszym deszczu, dzień przeznaczony na wjazd uroczysty. Czarniecki stanął w południe dnia 6. sierpnia pod Rzęsną, a tymczasem Lwów gotował się na jego przyjęcie. Z uderzeniem pierwszej nocnej godziny na całym zegarze, czyli o zmierzchu, odegrano z wieży ratuszowej hejnał na trąbach i bębnach, który też powtórzono ze świtem dnia następnego, jako hasło do zbierania się orszaku powitalnego. A orszak ów, który ruszył naprzeciw na pola między Rzęsną a Lwowem, składał się przedewszystkiem z cechów wszystkich z insygniami i chorągwiami, urzędu radzieckiego na rydwanie ratuszowym, bogato przystrojonym i konnej szlachty, na czele której stanął starosta lwowski Jan Mniszech. Na polu wystawiono namiot, w którym przemawiał do wojewody ziem ruskich, gdyż ten urząd niedawno otrzymał Stefan Czarniecki, najpierw imieniem szlachty Piotr Ożga, podczaszy ziemi lwowskiej, imieniem zaś miasta Walerjan Alembek, rajca lwowski.

Następnie ruszył cały orszak w stronę miasta.

*) Szczegóły z pobytu Stefana Czarnieckiego we Lwowie czerpiemy z rzadkiej dziś niezmiernie broszury współczesnej, której tytuł: *„Ingressus Illustr. ac Inclytis D. D. Stephani in Czarnca Czarniecki, Terrarum Russiae Palatini, Petricov. Covlen. et Ratnensis praefecti — Leopolim Metropolitanam eiusdem Russiae urbem, post Hungaros, Cosacosque et Valachos ac Moldavos insignibus aliquot cladibus affectos. Anno 1657. Dantisci. Sumptibus G. Forsteri 1659“*.

Przodem postępowały oddziały piechoty, zbrojne, utworzone z rzemieślników lwowskich. Za nimi Ormianie na koniach tureckich i arabskich, we wschodnie rzędy przybranych, sami strojni i zbrojni, ze wschodnim „perskim i trackim“ przepychem, przedstawiali „miły dla wszystkich widok“, jak powiada nasz sprawozdawca. Postępowała dalej kohorta młodzieży lwowskiej, z samych synów patrycjuszowskich wybrana, w liczbie 200 głów, ustrojona w kapiące od złota szaty mieszczańskie narodowe, potem oddział żołnierzy miejskich przy odgłosie trąb i bębnów, oddziały hajduków pańskich, załoga zamku niskiego, a wreszcie na koniu, otoczony wszystkimi dygnitarzami i poprzedzony dwoma trębaczami, dmącymi w długie trąby, sam wojewoda Stefan Czarniecki.

Za zbliżeniem się orszaku owego do miasta huknęło z murów miejskich sto armat na powitanie. W bramie halickiej zsiadł Stefan Czarniecki z konia i z całym orszakiem udał się pieszo ulicą Halicką do katedry, gdzie go już oczekiwała kapituła, magistrat lwowski, tłumy ludu i kanonik Wojciech Pigłowski z przemówieniem.

Mimo wielkich słów i biblijnych zwrotów, przemówienie to nie czyni wcale wrażenia przesady. Fakty tylko przytaczał ks. kanonik Pigłowski, a one same za siebie przemawiały i uprawniały zupełnie do takiego zakończenia:

„Ty jesteś ów mąż wojenny od młodości swojej Ty skałą, na której podstawa królestwa ugruntowana i sam dom Boży, który Cię tu wita całem sercem, Ty jesteś ową kolumną złotą, na srebrnej podstawie, na której szczycie wieniec nieśmiertelności złoży potomność. Ty jesteś synem mądrym, z którego słusznie cieszy się matka, Ty chwała Jeruzalemu, radość Izraela, Ty pociechą ludu Twojego. Ponieważ działałeś mężnie, wzmocnione jest serce Twoje, ręka Pańska umocniła Cię, przeto błogosławić Cię będą wszystkie wieki...“

I nie pomylił się kaznodzieja katedralny, ale ten, do którego owe wieszcze słowa były skierowane, nie lubił wcale długich oratorskich popisów. Na łacińską przemowę kanonika, odpowiedział krótko po polsku, a mowa jego, jak powiada autor broszury, z której czerpiemy, trwała wszystkiego pół kwadransa i nie przypadła mu widać wcale do gustu, gdyż nie uznał za stosowne przytoczyć jej nawet w streszczeniu. Cóż bo mógł powiedzieć na kwieciste mowy zawodowych oratorów, ów „pies raby“, co niby orzeł spadał z góry na wraże zastępy, co powiedzieć mógł ów, któremu kula pod Monasterzyskami podniebienie wyrwała, a druga pod Batowem nogę przebiła, ów, co życie całe słuchał tylko wymowy armat, zgrzytu koncerza, szumu skrzydeł i proporców husarskich? Pewnie nic takiego, coby wyćwiczonym w jezuickich kolegjach retorom do smaku przypaść mogło.

Tymczasem dziekan katedralny, Łukasz Witkowski, rozpoczął nabożeństwo, któremu razem z organami przygrywały wszystkie miejskie armaty, umieszczone na murach miejskich, basztach i bramach i cała milicja miejska z półhaków.

A na rynku stanęły dwie chorągwie husarskie, za niemi pułk piechoty niemieckiej i całe obywatelstwo miejskie. Po nabożeństwie poszedł Stefan Czarniecki piechotą przez rynek lwowski do pałacu arcybiskupiego, który mieścił się w rynku, w domu dziś liczbą 9 oznaczonym. Chyliły się przed nim sztandary cechowe, grały rusznice i półhaki, to znowu muzyka, to wreszcie przygłuszające wszystko okrzyki radości i entuzjazmu pospólstwa lwowskiego.

W pałacu arcybiskupim odbył się wspaniały obiad, po którym prowincjał Jezuitów Andrzej Sikorski, w otoczeniu całego kolegjum, wygłosił długie przemówienie po łacinie. Czego tam nie było w tej mowie: wszyscy bogowie greccy i rzymscy, Homer, Patrokles, Alcides, mówca odwoływał się do całego świata, kazał mu na swoje pytania odpowiadać, parafrazował imię „Stefan“ i wieńczył niem bohatera i t. d. i t. d.

Zaledwie Czarniecki krótkiemi słowy po polsku odpowiedział, aż tu znowu jeden z uczniów kolegjum jezuickiego z nową wystąpił perorą, w której Bellona spacerowała po Scylli i Charybdzie, zodjak topił się w morzu Bałtyckiem, Mars z Palladą pod boki chodzili, a Ateńczyków uważał mówca za nieszczęśliwych z tego powodu, że Czarnieckiego nie mogą pomieścić w rzędzie swoich bohaterów...

Wojewoda krótko odpowiedział i tak to trwało przez całe trzy dni pobytu jego we Lwowie. Codziennie odbywała się uczta, a na niej coraz to nowi goście. Cały Lwów przesunął się wówczas obok osoby Czarnieckiego, jak w barwnym kalejdoskopie; dygnitarze świeccy z ks. Dymitrem Wiśniowieckim na czele, kanonicy, mieszczanie, szlachta, a wreszcie cała chmara mnichów, ile ich tylko było po lwowskich klasztorach.

Powołany przez króla do Krakowa, wyjechał wreszcie Czarniecki z gościnnego miasta, odprowadzany i żegnany z takim samym ceremoniałem i orszakiem, jak przy powitaniu.

Fr. Jaworski.

OFIARA [2)]

FRAGMENT W 3 AKTACH Z ROKU 46-go

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ORKANA.

(Ciąg dalszy.)

JASTRZĄB *(przy drzwiach — do Matusa).* Zdejm czapkę, kluku, nie widzisz, kielo to panów?

STUDENCI *(cisną się ku Marji, która odpina wstążkę)* I mnie! i mnie! i mnie!

MARYA *(j. w.)* wszystkim się dostanie... *(obdziela).*

MATUS. Komedyje wierutne...

JASTRZĄB *(cicho)* Stul pysk!

JERZY *(do Marji)* Jedziemy dziś!

STUDENCI *(wesołym chórem)* Dziś w nocy!

LEON. „Oto zapusty! Dalej kulikiem!

Z szczękiem pałaszy, śmiechem i krzykiem!“

Ho! świt przed nami...

Ho! noc za nami...

Dalej i dalej! *(do Kazimierza)* Nie znasz? Słowacki! Te dwa ostatnie...

KAZIMIERZ. To ty?

LEON *(z dumą)* Zgadłeś — to ja — *(Marja wychodzi).*

JASTRZĄB *(ociera wąsy, chrząka).*

JAN *(zwraca się, zobaczył stojących przy dzwiach)* Proszę dalej! *(odwraca się, wesoło przedstawiając)* Mój sąsiad: pan Jastrząb ze synem... *(ci się kłaniają)* Tych panów znacie... *(Jastrząb kłania się powtórnie w stronę stołu, Jan zwraca się do Piotra, który, wskazując na Matusa, o coś zapytuje).*

MATUS *(do ojca)* Rety! To ten, co mnie tak łońskiego lata bez łeb zwalił... Poczkaj, sumarze! Dostanę ja cię w garść...

STUDENCI *(chórem):*

„Grzmią pod Stoczkiem armaty,
Błyszczą białe rabaty
A Dwernicki na przedzie
Na Moskala wciąż jedzie“

(chodzą grupą wszerz pokoju, niektórzy za ramiona się trzymając).

JERZY *(do Jastrzębia)* Cóż ojciec — bedzie wojna?

JASTRZĄB *(dyplomatycznie)* Aa jak ta panowie zechcą... *(Studenci mrugają na się z uśmiechami. Jan przy stole rozmawia jeszcze z Piotrem).*

MATUS *(do ojca)* Co ono sie ich telo zebrało?

JASTRZĄB. Stul pysk. Patrz i słuchaj! Nie mów nic.

JERZY *(do kolegów).* Pójdą z nami! Ujrzycie! Ja głowę daję za to!

STUDENCI *(chórem):*

„Raz pamiętam z wieczora
W Racławicach stoimy“ —

JASTRZĄB *(zbliża się do Jana).* Zaszliśmy do was, panie, wedle tego, com miał rzec...

JAN. Proszę siadać *(wskazuje na stołki).*

JASTRZĄB. Wedle tego niby, że Matus chciałby sie żenić...

JAN. Z Magdusią?

JASTRZĄB. E... z Magdusią, jak z Magdusią, ale prędzej z Wiktą, wiecie tego Łoziny łysawego córką...

JAN. To źle.

MATUS. Co źle?

STUDENCI *(chórem):*

„Dalej chłopcy — dalej żywo“...

JERZY. Oni to radzi będą słyszeć... no!

WŁADYSŁAW. Zaczekajmy, niech skończą rozmowę.

JAN. Bo ja słyszałem, że on Magdusię obiecankami uwiódł...

MATUS. Jaki to pan śmieszny. Na cóżbych był obiecował, jakbych sie miał żenić?

PIOTR *(do Pawła).* Któż widział z chamstwem takie ceregiele? To się ośmiela...

JAN. Zawiązał los dziewczynie porządnej...

JASTRZĄB. Gdzie ona ta porządna! Ani pół morga nie bedzie mieć...

JAN. Słuchajcież, jak o to chodzi, to ja dam posag Magdusi...

JASTRZĄB. Łozina daje trzysta śrebła...

STEFAN. Ja będę miał mundur zielony.

LEON. Tylko wszyscy jednakie czapki! I sokole pióra.

WŁADYSŁAW. Dobry pomysł — ale jakie? batorówki, czy krakuski?

LEON. Nie — musimy inne wymyśleć.

JERZY. Czasu mało. Zresztą, co tam — możemy tak iść, jak jesteśmy, byle broń była uczciwa.

LEON. Nie, mój kochany, umundurowanie piękne dużo stanowi. Pomyśl, naprzykład: książę Józef Poniatowski bez pięknego munduru — jakby wyglądał? no pomyśl... Przyznasz, żeby dużo stracił.

STEFAN. Więc zastanówmy się nad tem.

MATUS *(do Jana, kręcąc głową).* Nie widzi mi sie... Mitręga zawdy z dzieckiem...

JAN *(z oburzeniem).* A czyjeż to? Nie twoje?

MATUS. He! he! he! kto wie? Różne bywają trefunki. Można sie tak pomylić!

PIOTR *(do Pawła — przy stole)* Surowość przedewszystkiem...

PAWEŁ. Sprawiedliwość.

PIOTR. No tak — sprawiedliwość, ale i surowość przy tem, bo inaczej podasz palec, to za rękę chwycą...

STEFAN. Ja przy piechocie.

LEON. A ja przy konnicy. „Wiatry z drogi — wichry z drogi!“

KAZIMIERZ. Jerzy pewnie do artylerji przystanie. Śni mu się Bonaparte, który jako artylerzysta rozpoczął.

WŁADYSŁAW. Jeno czy będzie artylerja!

JERZY. Zgódźmy się na jedno, abyśmy razem być mogli.

KAZIMIERZ i WŁAD. Brawo! ale na co?

JASTRZĄB *(do Jana)* Ano bedziemy jeszcze widzieć... *(Kłania się, patrząc bacznie po wszystkich dokoła).*

JAN *(do Jastrzębia)* Więc tak. Namyślcie się jeszcze. Jutro — a — nie... pojutrze, tak... proszę na obiad...

I sąsiadom powiedzcie...

JERZY. Teraz! Teraz!

STUDENCI *(chórem)*:

„Dalej chłopcy — dalej żywo!
Otwiera się dla was żniwo...“

JERZY. Ostro! Już odchodzą...

STUDENCI *(chórem):*

„Rzućcie kosy — rzućcie radło,
Trza wojować, kiej tak padło...“

JASTRZĄB *(idąc do drzwi z Matusem, śmieje się ku śpiewającym, ci się, śpiewając, odśmiewają).*

MATUS (*do Jana, który ich odprowadza*). To... pojutrze?

JAN. Tak. Nie zabaczcie.

MATUS. I drugim powiemy!

STUDENCI *(chórem)*:

„Niechaj baba gospodarzy,
Niech pilnują roli starzy,
Wy parobcy, zagrodniki... i t. d.

MAGDUSIA *(staje we drzwiach od kuchni — obaczywszy Matusa, cofa się).*

MATUS. He! He! *(wdziewa czapkę i znika za ojcem).*

PIOTR *(do Pawła)* Horrendum!

JERZY *(do kolegów)* Aleśmy ich wzięli? Co? Jak im się oczy śmiały? Widzieliście?

JAN *(wraca zamyślony ku stołowi).*

(C. d. n.)

OLESZYCE.

„Tu każda piędź ziemi, — którą stopa depcze,
O dawnej przeszłości, przechodniom szepcze“.

Któż z nas śledząc pochód Karola Gustawa w „Potopie“ nie natknął się na wzmiankę o miasteczku Oleszyce, któż nie wie, że leżało ono za dawnych czasów nad tak zwanym „szlakiem“, którędy szły różne hordy aż pod Jarosław i dalej.

Oleszyce wieś — to stara osada, dźwigająca na swych barkach przeszło 6 wieków, dziś zwykła sobie wioszczyna galicyjska, rozciągnięta przeszło 3 klm.

Właścicielami jej w pierwszej połowie 15-go stulecia byli Ramsz i Nassagniew, rodzeni bracia, których zamek leżał prawie w tem samem miejscu, co dzisiejszy pałac Władysława ks. Sapiehy, o km. prawie od wsi.

W r. 1458. wybudowali i uposażyli ci bracia drewnianą kaplicę na końcu wsi t. j. w tem miejscu, gdzie dziś znajduje się kościół, — parafja należała do Lubaczowa.

W tym samym roku tworzy ks. biskup Błażejowski samoistną parafję i umieszcza w niej osobnego kapłana.

Jak świadczą akta (Liber Memorabilium), był ten kościołek dość piękny, zaopatrzony w potrzebne aparata, pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Panny Marji i Wszystkich świętych. (Dyplom oryginalny z r. 1458 w aktach kościoła).

Rok 1498 był dla tej wsi nieszczęśliwym. Po nieudałej wyprawie Olbrachta, napadli Tatarzy na niskie ziemie, zniszczyli, spalili wieś i kościołek. Zdobyli i zrujnowali także i zamek..

Zgliszcza i popioły powoli nikły, wieś się odbudowywała a dziedzic Jan Ramsz za współudziałem i zezwoleniem matki swej Heleny z Fulsztyna Ramszowej w r. 1517 w samą uroczystość Trzech Króli, postanowił wymurować kościół.

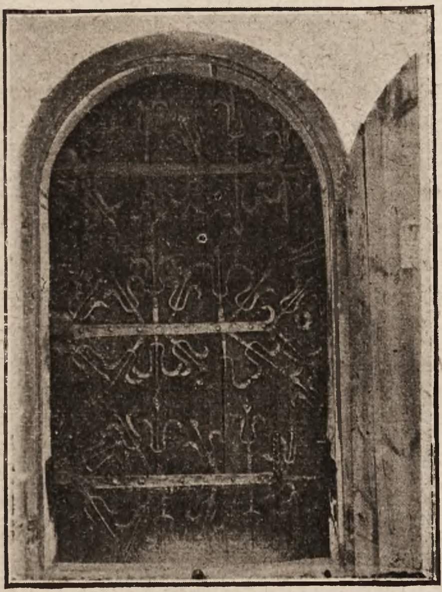
Przedwczesna śmierć przeszkodziła mu, ale matka jego Helena dokończyła budowy kościoła i dawniejszą fundację odnowiła.

Kościołek był murowany, w stylu romańskim, na górze otwory strzelnicze, przed wchodem umieszczono dwie figury alabastrowe, a mianowicie po lewej ręce Ramsza, po prawej matki jego Heleny.

Kościół poświęcił w r. 1530 biskup przemyski Jan Karnkowski.

Wkrótce wymarła rodzina Ramszów a Oleszyce na mocy rozporządzenia królewskiego przeszły w ręce Sieniawskich.

Hieronim z Sieniawy Sieniawski, wojewoda i generał ziem ruskich postanowił założyć miasto „na gruncie własnym“, „między zamkiem a wsią Oleszycami“, na co uzyskał przywilej króla Stefana Batorego, dany w obozie pod Kockiem w r. 1581.



Drzwi główne przy wchodzie wewnętrznym do kościoła.

Miasto nowe nazwał — Hieronimów i taką nazwę nosiło ono przez jakiś czas, jak tego są ślady w aktach. Nazwa ta jednak upadła; i ustaliła się — Oleszyce miasto.

Nikt nie chciał tu osiadać, bo brakowało pól i łąk, przeto Jadwiga z Czekanowic Tarłówna-Sieniawska, wojewodzina rusko-halicka nadaje mieszczanom w r. 1590 pola i łąki.

Od tego czasu wzrasta miasteczko szybkim krokiem — zabudowuje się, ale przechodzi wewnętrzne i zewnętrzne wstrząśnienia.

Równocześnie prawie z założeniem miasta wtargnęła herezja arjańska. Arjanie zawładnęli kościołem, powyrzucali ołtarze i zamienili go na swój zbór. Proboszcz katolicki musiał uchodzić, zabrawszy przywileje ze sobą (dziś w archiwum katedry przemyskiej).

Jadwiga Sieniawska, sprowadziwszy się po śmierci męża do Oleszyc, kazała, odebrać Arjanom kościół i wypędzić ich z miasta; ci, mszcząc się, zniszczyli wewnątrz kościół. Ona go jednak swoim kosztem odnowiła i ofiarowała wioskę Borchów na uposażenie.

Początek 17 stulecia — napady Tatarów i pochód Chmielnickiego zniszczyły zupełnie miasto i zamek.

Niezadługo potem goszczą w Oleszycach Szwedzi i bardzo często opierają się o nie pułki Czarnieckiego.

Miasteczko zaczyna się znowu podnosić, głównie za staraniem dziedziców Sieniawskich, którzy mu w 17 wieku nadają różne prawa i przywileje.

W r. 1724., w owych czasach kiedyto kilkakrotnie przechodzili tędy Sasi, wystawia Adam Sieniawski ratusz oleszycki. Kładzie on też około upiększenia miasteczka wielkie zasługi.

W r. 1744. przeszły dobra oleszyckie z rodziny Sieniawskich na rodzinę Czartoryskich, albowiem August Czartoryski, wojewoda ziem ruskich, ożenił się z Marją Zofją Sieniawską.

Dziś są te dobra w rękach ks. Sapiehów.

W r. 1901 całe miasto Oleszyce i wieś Oleszyce padły ofiarą strasznej pożogi. Spłonęły cerkwie, kościół, plebanja i wszystkie urzędy.

Z dawnych zabytków pozostały do dziś dnia drzwi dębowe z okuciem z początku 16 wieku, mury starego kościołka, podobizny których podajemy, i zamek, poprawiony ręką jeńców tureckich.



Widok rozebranego kościoła od strony południowej.

I po dziś dzień szumią okoliczne lasy echem dawnych okrzyków wojennych — żyje w nich wspomnienie, bo to, co znikło, nie umiera, przeszłość wraca w jawu kraje, jak mówi nieśmiertelny twórca „Nieboskiej Komedji“.

Karol Notz.

Z obcej niwy.

(Dokończenie.)

Męczą się nieustannie tą zagadką — i chcieliby być samotni — i chcieliby znaleźć rozumne wytłumaczenie bytu i tych wszystkich męczarni — i nie mogą... Człowiek, to pierwsza rzecz — mówią, czyli nie społeczeństwo, ale jednostka jest głównym pierwiastkiem czynnym ziemi. Bo — powiada jeden z bosaków — na ulicach to ci jest porządek, ale w duszy porządku nie ma... Ci wygnańcy życiowi to razem dusze pierwotne, które przeraża zalew kultury i jednocześnie męczennicy masowości dzisiejszego życia; jest w nich żądza szerokiej junackiej wolności, której w miastach znaleźć nie można; to też uchodzą oni na stepy, w lasy, na brzegi rzek ogromnych, na brzegi morza Czarnego, — poza sferę tej organizacji, która każdego podług szablonu układa... Oni się tu duszą — nienawidzą domów kamiennych i chałup wiejskich; wolą też żyć w jaskiniach „bardzo odpowiednich do mieszkania ludzkiego“ (Konowałow). — Czasami znikają; społeczność zorganizowana ich prześladuje; ten i ów znajdzie się nagle w więzieniu, a potem zesłany, idzie do katorgi. Tam, o ile mu się uda, zmienia się w „brodiagę“: taka już jego dola, jego linja! — Widzieliśmy tych zesłanych katorżników, w nowelach Korolenki; ten jednakże patrzy na nich, jak na wyrzutków; ma dla nich współczucie, jako człowiek uczony i humanitarny; wierzy on, że rewolucja usunęłaby to wszystko zło, jakie jest w dzisiejszem źle zorganizowanem społeczeństwie. Ale tu jest właśnie sprzeczność; to, co dla Korolenki jest źle zorganizowanem, dla Gorkiego jest aż za dobrze zorganizowanem: policja, żandarmerja, porządki uliczne, paszporty, dokumenty, szkoły, kasy oszczędności, przemysł, handel, służba wojskowa, „zajawlenia“, „dokłady“, całe „bumagotieczenie“ (tj. obieg papierów po kancelarjach“) — ile to najrozmaitszych więzów i kajdan na człowieku!.., tylko o duszy ludzkiej nikt nie pamięta.

Talent Gorkiego najwięcej mi przypomina Bolesława Prusa: ta sama miłość człowieka, ten sam dowcip i humor, te same nieraz szerokie perspektywy filozoficzne, wreszcie ta sama znajomość życia nieszczęśliwych. Ale jest jedna wielka różnica: ideałem Prusa jest u ż y t e c z n o ś ć człowieka dla społeczeństwa; przeciwnie dla Gorkiego użyteczny człowiek — to marny płaz, który nie rozumie szalonego lotu sokołów (Pieśń o Sokole). Dlatego to Prus ścisnął swój geniusz do rozmiarów małomieszczańskich, gdy Gorkij został niespętanym rumakiem, z tych „których Bóg nie kiełza“.

Bosaki Gorkiego protestują przeciw zasadzie użyteczności, oni nie są i nie chcą być użyteczni; oni nie chcą współdziałać temu społeczeństwu, które im się wydaje złem. Ono wije się, trzaska, pęka; jego cały ład jest bezładem; jego instytucje — rzekomo — fundamentalne, cerkiew, szkoła, sąd, skarb — są w rękach ludzi najfałszywiej wybranych i przeczą same sobie; jast to ogromne morze, na którem wszystkie statki krążą pełne trwogi, że burza je rozbije na szczęty. I tylko — śród ciszy poprzedzającej huragan — krążą po powietrzu, pełne swobody i dyszące rozkoszą — ptaki samotne, żadnemi więzami nie połączone z jakąkolwiek sprawą tego morza — P r o c e l l a r i a e, zwane po ros. Burjewiestniki, tj. zwiastuny burzy. (Pieśń o Burjewiestniku). Takie ptaki — to są bohaterowie Gorkiego; w społeczeństwie zbiera się wielka burza, a oni krążą po nad niem i poza niem — jako jej zwiastuny; oni są wolni od wszystkiego, bezużyteczni i — o tyle szczęśliwsi od niewolników zysku i pracy, że cały świat do nich należy i mogą się swobodnie z miejsca na miejsce przenosić.

Dotychczas wyszło Gorkiego pięć tomów. Historja jego losów literackich jest tak dziwną, że wprost zatrważa wszystkich, którzy całą młodość strawili w ciasnych murach szkolnych i zmarnowali najpiękniejsze lata na nauce rzeczy niepotrzebnych, wszelakiej erudycji łacińskiej i greckiej, którzy w pamięci mają Bóg wie jakie strzępy cudzych zdań i myśli, i są nadziani dykcjonarzami, zamiast żyć żywem życiem! Forma zawładnęła niemi, nie znali oni swobodnego tchnienia szerokich gościńców, jęku — którym płacze pierś samowolnego wygnańca, błądzącego nocą po nieznanym stepie, szumu wichrów, szalejących po puszczy albo na spienionych falach rzeki, wschodów i zachodów swobodnego słońca... Życie całe niemal przepędzili w kurzu bibljotecznym, w książkach, w papierze... Gorkij jak najmniej czerpał z książek, jak najwięcej z życia. I w szkołach prawie nie był, jego nauka jest przypadkowa, niesystematyczna, intuicyjna raczej, niż bibulana; to nie literat, to żywy człowiek i dla tego świeży, silny, wolny, samorodny. Jednakże on dużo umie, ale nie cięży nad nim pamięć młodocianych lat, prześlęczonych w dusznej i zatęchłej atmosferze szkoły.

Świat jego bohaterów — to świat jego własny; on ich kocha, on kocha ich dusze szalone, niepokorne, dzikie i samowolnie oderwane od kultury.

On widzi w nich potęgę zapoznaną i tajemniczą. Dodać zresztą trzeba, że pomija niejedną ciemną stronę ich życia i że ich półświadomie idealizuje. Obrazy natury są u niego również rzeczą żywą i świeżą; to nie turysta, który przygląda się uczenie i po literacku krajobrazom, ale włóczęga, który od dziecinnych lat przesiąkł oddechem puszcz i stepów, skwarami słońca, obłąkanem toczeniem się chmur po niebie, który nocami, leżąc na pustem polu, słuchał wycia wiatrów i przyglądał się gwiazdom i księżycowi.

Tło opowiadań Gorkiego czasami taki charakter przybiera, że przypomina amerykańskie historje Bret-Harte'a lub Fenimora Coopera: półcywilizowani, i nieprzyjaźni cywilizacji jego bohaterowie, są tego samego kalibru, co Sachemowie czerwonoskórych, myśliwcy z Sawany, Bois-Brûlé itd. — Po największej części są to zwykli półwarjaci, nędzarze, jak Konowałow, Czełkasz, albo szewc Orłow; czasem upadli, zdeklasowani ludzie, jak rotmistrz Kuwarda i cała jego banda (Ex-ludzie). Ale w istocie różnią się oni od bohaterów Bret-Harte'a i Coopera, są to ludzie par excellence bezinteresowni, nawet kiedy kradną i zabijają; nie mają oni właściwie trosk materjalnych; szukają trwałego punktu, na którym mogliby się oprzeć; szukają sensu i racji bytu życia; szukają bóstwa i wyjaśnienia tego, co widzą.

Oto np. treść jednej z najpiękniejszych nowel p. t. Dwudziestu sześciu i jedna. Było nas dwudziestu sześciu — mówi autor, — piekarczyków. Siedzieliśmy w suterenie, w mroku, zaduchu, w gorącu i smrodzie; pyłem mącznym obsypani, okryci łachmanami, gnietliśmy ciasto i milczeliśmy. W tem podziemnem życiu zatraciliśmy ludzkie twarze i nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Zakratowane, niskie okno, otwierało widok na brudną, szarą, jednostajną ulicę. W tym samym domu była szwalnia; w szwalni służyła 16-letnia dziewczyna Tania, która codzień przychodziła do nas, mówiąc srebrnym głosikiem: Aresztanci, dajcie rogalków! Kochaliśmy ją wszyscy, bo to był nasz promień słońca i jedyny człowiek, co z nami rozmawiał; to też najczęściej rozmawialiśmy o niej; Tania stała się ich religją. Obok piekarni był sklep z bułkami naszego gospodarza; przyjął on do sklepu młodego franta, ex-żołnierza, którego też polubiliśmy, bo on przynosił nam wieści z żywego świata, schodził do nas, rozmawiał z nami. Był ładny chłopiec, zawsze czysto ubrany, miał nawet zegarek, to też chwalił się: baby mię lubią! każdą wezmę! Rzeczywiście wszystkie szwaczki wprędce opanował; ale jeden z nas ponuro rzekł: nie weźmiesz Tani. Zakład — woła żołnierz — dajcie czas, a zobaczycie, co to zuch — sołdat!... I stało się, jak zapowiedział, wszyscy byliśmy świadkami, jak z nią poszedł do komory i wyszedł ztamtąd tryumfalny. Nasze bóstwo dało się sponiewierać; świętość nam ukradła Tania! Wszyscy wybiegliśmy, rzucając jej w oczy hańbę i odtąd już nie mieliśmy żadnego promienia słońca!

W tym obrazku ile głębi! —

Obaczmy teraz inny p. t. Boleś. Upadła dziewczyna zna pewnego studenta, który u niej bywa. Raz prosi go, żeby jej napisał list do Bolesia, niby jej ukochanego; student pisze. Po pewnym czasie znów się z nią widzi; dziewczyna go prosi teraz, aby jej napisał list od Bolesia. Jakto? student nie rozumie. Wtedy się okazuje, że tego Bolesia wcale nie ma, tylko, że ona chce mieć złudzenie, że ktoś ją kocha, że się nią zajmuje, że do niej pisze i że ona może do kogoś pisać... Jej potrzebne choćby marzenie o jakiemś sercu człowieczem.

Konowałow, to błędny człowiek, który z miejsca na miejsce się przenosi i ginie w więzieniu. Orłow, to szewc, który bijał żonę, a w czasie cholery został „sanitarem" i zdawałoby się, że doszedł do ładu, ale nie! Szał go opętał i idzie w świat między bosaków.

Czełkasz jest ze wsi; nie chce on być „pod władzą ziemi", jak Gawryło, parobek. Czełkasz bierze Gawryłę do pomocy w złodziejstwie; zdobył duże pieniądze, ale nie chce ich dać Gawryle; kiedy zaś ten przyznaje się, że chciał Czełkasza zabić dla pieniędzy, bosak rozgniewany łeb mu krwawi kamieniem i wtedy dopiero wzruszony wszystkie pieniądze mu oddaje.

Niepodobna zresztą opowiadać treści tych historyj. Są one niesłychanie bogate, soczyste i żywe... Co za pyszne typy w Ex-ludziach! albo figury z powieści Troje! Co za oryginalna postać kobieca, Wareńka Olesowa! Albo ta druga Malwa! albo Starucha Izergil. Wszystko prawie dusze niespokojne, szalone, po za nawiasem społeczności żyjące. Nie nędza ich popycha w te sfery błądzenia, boć Foma Gordiejew to milioner, a jednak porzuca swe miliony, aby poznać sens życia, którego zresztą nie odgadł i oszalał z tej niemocy.

A. Wrzesień.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Juljan Klaczko*, rys życia i prac. (1825—1904) napisał Ferdynand Hoesick. Kraków. Spółka wydawnicza polska 1904. Jeżeli p. Hoesicka nierzadko spotykały zarzuty, że w biografjach literackich wyciągał na jaw szczegóły z życia poetów, które raczej powinny były pozostać w ukryciu, to odnośnie do Juljana Klaczki spotkać go powinien zarzut wprost przeciwny. Takiej bowiem dyskrecji biograficznej nie wykazuje żadna z poprzednich prac p. Hoesicka, a skutkiem tego żadna może nie uwisła tak bardzo w powietrzu, jak właśnie życiorys Juljana Klaczki. Czytelnik śledzi z zajęciem ciekawe koleje życia „cudownego dziecka“, które urosło z czasem w potężną indywidualność literatury powszechnej, owego estety wytwornego, druzgocącego polemistę, przenikliwego męża stanu, a niezna i z książki p. Hoesicka dowiedzieć się nie może o warunkach wśród jakich wzrastał ów człowiek genjalny, a z wyjątkiem paru wstydliwych wzmianek nie można się nawet dowiedzieć kim byli rodzice Juljana Klaczki.

Zdaje się, że żydowskie pochodzenie wielkiego pisarza, w tak kłopotliwe położenie postawiło jego biografa, gdyż p. Hoesick cytując nawet numer „Rozmaitości“ lwowskich z r. 1839, w którym znajduje się pierwsza wzmianka „o 13-letnim mieszkańcu Wilna, który odznacza się nadzwyczajną zdatnością do poezji w języku polskim, a nazywa się Judel Klaczko“ opuszcza dyskretnie imię jego, oznaczając je pierwszą tylko literą. Nie rozumiemy dla czego się p. Hoesick tak wstydzi pochodzenia p. Klaczki? Wszakże to jego zasługom, ani talentowi najmniejszej ujmy nie przynosi.

Praca p. Hoesicka o Klaczce, nie jest jedyną biografią tego pisarza, jest tylko najdokładniejszą. Mnóstwo szczegółów z literackiej działalności, pozbieranych skrzętnie złożyło się na dokładny obraz bibljograficzny, co zaś do oceny poszczególnych dzieł Klaczki, trzyma się p. Hoesick niewolniczo zdan'a głównie Stanisława hr. Tarnowskiego, sam nie wykraczając nigdy po za ogólnikowe frazesy, jak np. powtarzany przy wymienieniu każdego prawie artykułu, że „należy on do najlepszych, jakie Klaczko napisał“.

To też nie całkiem jest zasługą p. Hoesicka, jeżeli jego książkę o Klaczce czyta się z wielkiem zajęciem i ciekawością. Same bowiem koleje niezwykłego tego umysłu, dostatecznie tę ciekawość usprawiedliwiają. Urok nadzwyczajnych zdolności i talentu towarzyszy Klaczce od lat chłopięcych, uniwersyteckich, aż do wybitnej roli publicystycznej, jaką odegrał na emigracji w Paryżu i literackiej, jako genjalnego współpracownika *„Revue des deux Mondes“* i dyplomatycznej w czasie powstania styczniowego. Powołany następnie przez hr. Beusta do ministerstwa spraw zewnętrznych Austrji, mianowany hofratem, zasłynął Klaczko jako wybitny polityk, a wróg Bismarka i na horyzoncie austrjackim, po to, aby w warunkach jakie wytworzyła w Europie wojna francusko-pruska w r. 1871 nie znaleść dla siebie miejsca, a cofnąć się w ubiegłe wieki włoskiego renesansu i uzyskać światową sławę, jako autor „Wieczorów florenckich“. Jako esteta, prozaik i pisarz jest Klaczko jednym z najświetniejszych umysłów Europy w XIX. wieku, jako polityk jest założycielem między innymi t. z. dzisiaj politycznej szkoły krakowskiej.

Fr. Jaw.

Henryk Zbierzchowski: Na złotej przełęczy. Scherzo powieściowe. Lwów 1904. Księgarnia polska. Warszawa: E. Wende i Sp. Niemożliwa możliwość. Powieść, jak bajka. I treść sama i tło, na którem rzecz wymalowana, są wprost bajecznemi. Są to wspomnienia drogie (można rozumieć dwuznacznie), wspomnienia człowieka o „bluszczowej“ duszy. Więc poznał Theresitę w Hamburgu — grała tam cudownie Chopin'a — pokochał ją, ona jego — i pojechali na południe, do Hiszpanji. Dom ich był w górach, przyczepiony do skał — żyli więc górnie i szczęśliwie — przy wodospadach „na złotej przełęczy“ jawią się ich duszom dziwne baśnie i pewne prawdy... Stary marynarz, ich wuj zaprasza ich nad morze, do siebie, w doliny. Schodzą kochankowie bogów z gór. W dolinach czekają ich dwa sidła: Theresitą owładnął stary jej znajomy, rudy Grek, bez „bluszczowej“ duszy, za to z silnemi pięściami. Henryka (bohatera) kusi dzika dziewczyna — o dzikiem nazwaniu: Indjana. Wchodzi wśród nich cień zamyślenia, smutku, lęku i grozy — u węgłów czyha zemsta. Theresita z Grekiem ucieka, niestety! Bóg dał burzę Oceanom i okręt się rozbił. Theresita zginęła w falach morskich wraz z rudym Grekiem. Przy chorym Henryku czuwa Indjana, kochająca go całem gorącem sercem Hiszpanki. Przez otwarte okna dochodzi szum morza, może płacz Theresity, może śmiech Greka...

Opisy natury są miejscami przepyszne — miejscami poprzerabiane (może nieświadomie, tem gorzej) z poezyj np. Staffa. (Cały ów obraz przedwiosenny robi takie wrażenie). Do najpiękniejszych opisów w naszej literaturze będzie należało bezprzecznie oblężenie osady przez węże i skorpiony — i Zaklinacz Wężów. Miejscami miałem wrażenia przy czytaniu tej powieści czysto — jakby to nazwać — czysto muzyczne może...

Fel. Gw.

NOTATKI. *Studja nad gwarą kaszubską.* Bory Tucholskie i pograniczne osady południowych Kaszub zwiedzał z polecenia Akademji krakowskiej prof. dr. Nitsch, w celu robienia studjów nad gwarą kaszubską i dokładnego sprawdzenia południowej gwary językowej Kaszub. Prof. Nitsch obszedł pieszo prawie wszystkie wioski pomiędzy Brusami a Sempolnem, szukając starszych ludzi, mówiących po kaszubsku bez przymieszki niemieckiej.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.